


Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**ANTONI FERDYNAND  
OSSENDOWSKI**

**ORLICA**

*Powieść z życia górali  
Wysokiego Atlasu*

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### Na starej drodze karawanowej

Pomiędzy Tarudantem a hiszpańską kolonią Sidi Ifni istnieje stara droga karawanowa. Przechodzi ona wąskimi dolinami, przecinającymi ostatnie uskoki dwóch grzbietów: od południa Anty-Atlasu, od północy – Wysokiego Atlasu. Droga ta niegdyś była bardzo uczęszczana przez kupców, ponieważ tymi dolinami przedzierał się oni ze swoimi wielbłędami z Mahrebu<sup>1</sup> na brzeg Atlantyku i dążyli dalej na południe, do Senegal, po kość słoniową, po towary podzwrotnikowe i po czarne, niby z hebanu rzeźbione, rosłe i płomienne niewolnice o spiżowych piersiach, białych zębach i oczach o złocistym, namiętym połysku. Od pięciu lat karawany nie suną już tą drogą, gdyż wytknięto inne szlaki, krótsze i dogodniejsze.

Pewnej nocy starą drogą karawanową posuwał się mały oddział konny. Byli to jeźdźcy ze szczepu Szleu. Można było ich poznać od razu z orlich nosów, szlachetnych, rycerskich rysów twarzy i postaw, a także z długich włosów, zwisających kosmykami z pod białych zawojów.

Jeźdźcy mieli piękne konie górskie o cudnych, kościstych głowach i cienkich, śmigłych nogach, a byli dobrze uzbrojeni w długie skałkowe karabiny, ozdobione srebrem i perłową masą, prochownice z cyzelowanej miedzi, haftowane, skórzane sakwy, „czakras”, z pełnym ładunkiem kul, i za pasami krzywe „kumia”, obosieczne, do sierpów podobne handzary.

Oddział posuwał się szybko naprzód, i białe lekkie burnusy, jak skrzydła drapieżnych ptaków, miały się nad pochylonymi do końskich karków jeźdźcami.

Gdy droga wcisnęła się w głęboki wąwóz wcinający się w spadki Dżebel Orak, jeźdźcy wstrzymali konie, zeskoczyli z siodła i zwróciwszy rumaki pyskami ku wyjściu z wąwozu wydali krótki, chrapliwy krzyk. Wierzchowce nawykłe do głosów swych panów wspięły się na zadnie nogi i jak strzały wypuszczone z łuku pomknęły przebytą już drogą do domu.

Jeźdźcy tymczasem obejrzeni miejscowość i ukryli się za kupami zwałów skalnych i w wyrwach z obydwóch stron drogi.

W wąwozie zaległa i zaczęła się cisza. Najbardziej czujny człowiek nie zauważyłby obecności ośmiu uzbrojonych ludzi czyhających za skałami.

- Ras ben Hoggar! – rozległo się ciche wołanie z poza kamieni.
- Co powiesz, Achmedzie! – odpowiedział jeden z zaczajonych Szleu.
- Czy dobre wybraliśmy miejsce na zasadzkę?
- Lepszego nie znajdziemy na całej drodze! – odparł Ras i zapytał: – Czy wygodne macie do strzału kryjówki, towarzysze?
- Zupełnie dobre! – odpowiedzieli inni. – Widzimy z nich drogę aż do zakrętu nad potokiem.
- Niebezpieczne nasze przedsięwzięcie... – rozległ się niepewny głos Achmeda.

---

<sup>1</sup> Mahreb – arabska nazwa Maroka.

– Nie mówiłem tobie, Achmedzie, że jest ono bezpieczniejsze od odwiedzenia kawiarni lub strzału do zająca – odparł Ras. – Jeżeli jednak boisz się, to lepiej zmykaj póki czas!

– Nie boję się – zaprotestował Achmed – ale nie chcę popaść w ręce wielkiego „kaida”<sup>2</sup> Glaui, który z ramienia sultana i Francuzów rządzi górami i przysięgał, że nawet kobieta i dziecko mogą bezpiecznie przechodzić drogami góorskimi. W zeszłym roku, gdy około Amizmis górale Suss napadli na jakiegoś kupca, kaid schwytał ich, kazał ściąć i głowy ich wywiesić na murach swej stolicy w Tarudant.

– To inna rzecz! – zaśmiał się któryś ze Szleu. – Tu napadniemy na karawanę hiszpańską. Dąży ona bez przepustki wielkiego kaida i bez eskorty jego spahisów. Nikt się o losie tej karawany nie dowie, chyba po roku, albo po dwu, gdy szakale i hieny zatrą resztki śladów. Bądź dobrej myśli, Achmedzie!

Znowu zapanowała cisza i przez wąwóz przemykał się tylko lekki wietrzyk, szeleszcząc w zaroślach suchych tamaryndów i aloesów.

Ras ben Hoggar, trzydziestoletni silny i zwinny człowiek, siedział w pierwszej kryjówce kierując całą wyprawą. On to miał podać sygnał do napadu wypuszczając pierwszą kulę. Ras wyciągnął się wygodnie pośród kamieni, swój karabin, oparty na skale, skierował na drogę, czekał i myślał.

Dusza jego błąkała się w tej chwili w rodzimych górach około „kasby”, wielkiego warownego gmachu z grubymi murami, wieżycami i potężną bramą; w kasbie mieściła się cała wieś, gdzie dom stał przy domu, gdzie przez wszystkie mury przechodziło szerokie, ciemne przejście, łącząc wszystkie budynki w jedną całość, przypominającą ul z labiryntem woskowych komórek. Góral widział swój dom, a w nim Czar Azizę, najpiękniejszą z kobiet w całej okolicy. Pojął ją za żonę dopiero dwa lata temu, a był szczęśliwy, jak tylko może być szczęśliwy człowiek, którego kocha góralka Szleu.

Ras uśmiechał się do żony, gdyż widział ją wiotką i zgrabną jak sarna, szybko idącą z dzbanem na ramieniu do źródła po wodę. Szła prawie nie dotykając sprężystymi nogami różowej ziemi, lekko się kołysząc w wąskich, silnych biodrach. Dumnie niosła wysoką, wybujaną pierś i piękną głowę o oczach jak gwiazdy i ustach podobnych do płatków czerwonego oleandru.

Ras kochał i był kochany. Gdy myślał o pieszczotach Czar Azizy, dreszcz biegł mu po grzbiecie i po stawach. Zaczął nadśluchiwać, gdyż wydało mu się, że dolatuje go głos żony śpiewającej starą piosenkę góralską.

– Czy uda się nam dziś? – zapytał cichym głosem siedzący obok niego Achmed.

Ras drgnął i odpowiedział:

– *In Cza Allah!* Jak zechce Allah!

Tymczasem do mroku nocy wlewać się zaczęły niewidzialne potoki szarych cieniów, później białawych, spływających z gór. Zachichotała gdzieś zupełnie blisko błąkająca się w górach hiena, zaszlochała para szakali, gwizdnęły budzące się ptaszki, a z ich ostatnim piskiem wierzchołki gór różowiec zaczęły.

Świtało...

Upłynęła jeszcze godzina i wąwozem przemknął szakal trwożnie się oglądając. Wtedy Ras podniósł się, obejrzał karabin, podsypał prochu na panewkę, umocował się na kolanach i cicho zakwilił jak jastrząb. Głucho szcęknęły w wąwozie odwiedzone kurki karabinów.

W pół godziny później w końcu wąwozu zaczęły się jakieś postacie.

Bystre oczy Rasa dostrzegły obładowane wielbłądy. Szły po dwa i po trzy w rząd, wyciągając się powoli na wąskiej drodze w długi sznur. Z tyłu jechało kilku jeźdźców.

---

<sup>2</sup> Kaid – książę, wezyr, gubernator.

Ras przepuścił wielbłądy, a gdy przed skałą, gdzie się czaił, zjawiała się gromadka jeźdźców, wystrzelił. Zawtórowały mu karabiny towarzyszy. Dwóch jeźdźców spadło z koni, reszta zawróciła i zaczęła umykać.

Karawana dostała się w ręce Szleu.

Wybiegli więc wszyscy ze swych kryjówek na drogę i zaczęli łapać wielbłądy, rozwiązywać wory i paki, przeglądając zdobycz. Byli tak pochłonięci pracą, że nie od razu mogli zrozumieć, co się stało, gdy rozległy się nowe strzały, po których Achmed i dwóch innych górali upadło i zaczęło kopać ziemię nogami.

Ras obejrzał się i ujrzał kilkunastu jeźdźców, szybko mknących drogą i wymachujących karabinami.

Nie namyślając się ani chwili góral porwał swoją strzelbę i jął jak żbik wspinać się na skały, kryjąc się wśród nich i czając, obsypywany kulami eskorty broniącej karawany. Widział, jak jeden po drugim padali jego towarzysze, rozpraszający się w różne strony niby stadko spłoszonych myszy.

Ras dotarł nareszcie do szczytu góry i tu się zaczął. Słuchał długo i bacznie, lecz pościgu nie było. Wytknąwszy głowę z poza skał zobaczył ogon karawany wychodzącej już na obszerną płaszczynę za wąwozem. Na drodze zaś Ras nie dojrzał ciał zabitych towarzyszy.

Zabrali ich ze sobą... – domyślił się góral. – Żle! Teraz dowiedzą się, która kasba dokonała napadu. Nie mogę powracać do domu, bo utnie mi wielki kaid głowę. Nie chciał Allah dopomóc przedsięwzięciu Rasa!

Jakieś złe i ciężkie przeczucia ścisnęły serce górala.

Ześliznął się z gór na drogę, gdzie padli jego towarzysze. Znalazł tu kałuże krwi i ślad ciał wleczonych po piasku.

– Zabrali zabitych czy rannych ze sobą, przekłęci kupcy! – zamruczał Ras ben Hoggar i głęboko się zamyślił.

Cały dzień spędził wśród skał przy małym źródelku, które z trudnością odnalazł.

Ras był doświadczonym myśliwym, od dawna wałęsającym się po górach Atlasu o głodzie i chłodzie, więc umiał sobie radzić. Wynałazł kilka sterczących z ziemi gołych łodyg „kemji” i zaczął je wyciągać. Roślina ta posiadała długie i grube korzenie, którymi szukała dla siebie wody na wielkiej głębokości pod ziemią, jak prawdziwa mieszkanka pustyni.

W ten sposób Ras zaopatrzył się w paliwo, po czym przygotował sobie stawę, miał bowiem w swojej sakwie kawę, kociołek i duży placek „keseras”, upieczony rękoma Czar Azizy. Przespał się do wieczora, a po modlitwie, o zachodzie słońca, ruszył ku domowi. Szedł lekkim, sprężystym krokiem, nawykłym do szybkiego chodzenia; szedł aż do wschodu słońca. Po modlitwie porannej przebrnął rzekę Suss i zapadł w góry. Tu się zaczął około źródła, płynącego w pobliżu jakiejś wioski. Narwał sobie dojrzałych oliwek i parę granatowych owoców, napelnił kociołek wodą i wlaź w gęste zarośla fig berberyjskich. Musiał przeczekać dzień, aby po nocy przekraść się do swojej kasby. Wiedział, że w nocy, gdy bramę zamknie wiejski „kadi”<sup>3</sup> stary Achmed el Azuin, do kasby nikt się już nie dostanie, gdyż podług prawa do wschodu słońca wejście i wyjście było surowo zakazane.

Ras postanowił więc wysledzić i rozmówić się z żoną, gdy ona pójdzie rano do studni po wodę.

Tak też uczynił. Dzień cały przespał, całą noc znowu szedł i gdy ujrzał nareszcie na jasnym niebie ciemne kontury wieżyc i murów kasby, prześliznął się przez gaje oliwne ku małemu białemu budynkowi o półokrągłej kopule i zębatych ścianach. Była to „kubba” – grobowiec świętego człowieka Sidi Ali el Slimana, który żył niegdyś w kasbie i był kadim

---

<sup>3</sup> Kadi – wójt i sędzia.

przed wiekami. Obok kubby mieściła się głęboka studnia z czystą i cudotwórczą wodą, którą codzień nabierała w dwa wielkie dzbany gospodarna Czar Aziza dla domu.

Wkrótce potem, jak zamilkły nawoływania starego muezzina do modlitwy porannej, z kasby wyszedł tłum kobiet i skierował się ku studni. Z daleka już Ras rozpoznał swoją żonę. Była najzgrabniejsza, szła najłżejszym krokiem i była najpiękniejsza.

– Czar Aziza! Umiłowana na całe życie! – szepnął Ras, czując jak serce mu zaczęło gwałtownie kołatać w piersi.

Wkrótce kobiety przeszły blisko od zaczajonego Rasa, a wtedy on dojrzał pochmurne, strwożone oczy Azizy i jej piękną, bladą twarz. Niosła tylko jeden dzban.

– Drugi pewno stłukła – domyślił się Szleu.

Gdy kobiety nagadawszy się do syta przy studni szły z powrotem, Ras zauważył, że Aziza szła na ostatku i bacznie rozglądała się dokoła, trzymając dzban na lewym ramieniu.

Ras gwizdnął z cicha. Kobieta drgnęła i obejrzała się w jego stronę, po chwili, założywszy wolną rękę za siebie, uczyniła jakiś znak.

Ras uśmiechnął się radośnie.

– Mądra i przebiegła jak orlica – szepnął namiętnie; wiedział teraz, że zobaczy się z żoną.

Istotnie, w porze obiadowej, gdy wszyscy siedzieli w swoich domach w otoczeniu rodziny, Aziza, klucząc po gajach i ogrodach, przyszła do niego.

– Bądź pozdrowiony, panie mój i mężu! – zawołała z wybuchem, rzucając mu się w objęcia i mrużąc swoje promienne oczy pod jego namiętnymi pocałunkami. – Już wiem o wszystkim! Dziś po spytkach umarł ostatni z twoich towarzyszy Hadż ben Abmar wyznawszy wszystko przed wielkim kaidem. Wiedziałam, że ty nie zginiesz, bo jesteś śmiały jak „sid”<sup>4</sup> i chytry jak lis. Wiedziałam, że przyjdiesz i czekałam na ciebie, Ras! Nie możesz jednak powracać do kasby! Kadi dostał rozkaz schwytać ciebie i odstawić na sąd do Tarudantu. Uciekaj! Przyniosłam ci kilka keseras, kawał mięsa i cebuli. Uciekaj jak najprędzej i pamiętaj, że będę czekała na ciebie, chociażby do starości! Bywaj zdrów, niech Allah prowadzi ciebie szczęśliwie! Gdy zapomną ludzie o wypadku, a ty znajdziesz bezpieczne schronisko dla nas obojga, przybędziesz tu i zabierzesz stąd swoją Azizę, swoją żonę i niewolnicę, cień twego ciała i cień twojej duszy. Idź już w imię Allacha!

Nastąpiło krótkie pożegnanie. Rasowi łyzy ścisnęły gardło, gdy odchodząca Aziza rzuciła nań ostatnie spojrzenie. Smutek niezgłębiony i rozpacz dojrzał mężczyzna w pięknych oczach ukochanej. Jednak nie było czasu do namysłu. Czając się w krzakach, przypadając za kamieniami dążył w góry, jeszcze nie wiedząc dokąd pójdzie i jakie będą ich losy.

Wkrótce już góral drapał się na strome spadki porośłe gęstym lasem „adras” i krzakami oleandrów. Gdy podniósł głowę, ujrzał szczyty Atlasu. Połyskiwały i lśniły się bielą śniegów i wołały go do siebie głosem niezmaconej ciszy i wielkiego spokoju.

---

<sup>4</sup> Sid – lew.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### Włóczęga

Ras dopiero przed wieczorem zatrzymał się w głębokiej kotlinie górskiej. Zbiegały się tu zewsząd zbocza głównego grzbietu Atlasu, od dołu porośnięte krzakami i drzewami, wyżej – wysoką i soczystą trawą, a jeszcze wyżej połyskujące barwnymi skałami, uwiecznionymi turbanem ze skrzących się lodowców.

Ras spędził noc przy małym ognisku, rozpalonym między skałami. Słyszał nieraz, budząc się co chwila, jakieś głosy niewyraźne i chrapliwe.

Muflony! – domyślił się Szleu. – Jutro zapoluję na nie...

Gdy tak myślał, czujnym uchem zaczął łowić jeszcze inne dalekie odgłosy.

Dolatywały one z rzadka, lecz stawały się coraz wyraźniejsze.

Było to głucho, ponure miauczenie, przerywane niby głośnymi westchnieniami.

Ras podniósł głowę i nadśluchiwał czujnie, zrozumiał bowiem, że niebezpieczny sąsiad krąży dokoła jego kryjówki.

Miauczenie i coraz głośniejsze westchnienia zbliżały się szybko, lecz wkrótce umilkły. Wtedy Ras wyraźnie poczuł, że ktoś groźny i gotowy do napadu przygląda się mu, nie spuszczać z niego źrenic.

Szleu porwał za karabin, a potem cisnął do ognia kupkę suchej trawy i gałęzi. Ogień z trzaskiem i sykiem buchnął wyżej, a jego czerwone cienie pobiegły daleko i drgać poczęły na pogrążonych w ciemnościach skałach. Ras usłyszał wtedy miękki bieg zwierza, szmer toczących się z gór kamyków i – wkrótce zapanowała cisza.

Czyżby pantera miała tu swe legowisko, a jam tu włożył nieproszony niby do zajazdu w sąsiedniej wiosce? – pomyślał człowiek, zawijając się w swój burnus i kładąc się przy ognisku.

Tak spędził swoją pierwszą noc włóczęgi Ras ben Hoggar, mieszkaniec kasby z Ued Tafdif i najlepszy strzelec z całej okolicy.

Przed świtem Ras zalał wodą ognisko i wyruszył na polowanie. Pamiętał kierunek, skąd dochodziły go głosy muflonów i skierował się w góry, idąc łożyskiem małego potoku płynącego z pod śniegu bielejącego na szczytach grzbietu. Minął pasmo lasów i krzaków i wyszedł na spadki pokryte wysoką trawą i drobnymi krzaczkami kwitnących różaneczników. Góral szybko przecinał piękne łąki szmaragdowej trawy z bukietami barwnych kwiatów i szemrzącymi strumykami i ostrożnie się rozglądał. Nareszcie dojrzał stadko muflonów. Potężny, stary samiec o wspaniałych rogach niby wykutych z ciemnego kamienia stał na czatach, samki i młódź pasły się dokoła, spokojnie skubiąc trawę.

Ras zaczął się skradać przypadając do ziemi i czołgając się od kamienia do kamienia, od łągu do łągu.

Muflon zwęszył jednak zbliżającego się myśliwego, a może jakiś kamyk obsuwając się z pod kolan Rasa zdradził jego obecność. Baran wydał krótki, trwoźny ryk i po chwili całe stado pędziło już w szalonym biegu w góry, przesadzając wysokie zwąły kamieni i szerokie szczeliny.



Ras ścigał muflony i znowu podszedł je. Udało mu się podkraść o jakie pięćdziesiąt kroków do najbliższych zwierząt. Wymierzył starannie i chciał już strzelić, gdy stado w największym popłochu zaczęło uciekać, mknąc wprost na Rasa.

Myśliwy strzelił i jeden z młodych samców potoczył się na dół, porywając ze sobą większe kamienie i zsuwające się lawiny drobnych odłamków i piasku. Nagle pomiędzy skałami mignęło coś żółtą skórą w czarne plamy.

Była to pantera. Ras, nie namyślając się, śpieszył się z nabiciem swojej strzelby, aby być przygotowanym do możliwego ataku drapieżnika.

Pantera tymczasem znikła Rasowi z oczu. Rozglądał się, napróżno szukając jej dokoła. Myśliwy sądził, że drapieżnik uciekł, spostrzegłszy człowieka, poszedł więc w tę stronę, gdzie stoczył się na dno wąwozu postrzelony przez niego muflon; ślizgał się stromym spadkiem góry, skakał przez szczeliny jak kozioł skalny i zbiegał coraz niżej i niżej.

Nagle zatrzymał się jak wryty, bo usłyszał tuż przed sobą glucho mruczenie, a w chwilę później ryk. Ras ledwie zdążył podnieść do ramienia karabin i strzelić, gdy pantera, zaczajona za odłamkiem szarozółtej skały, zrobiła szalony skok. Kula ugodziła bestię już w locie. Upadła i jęła potwornymi pazurami szarpać darninę rozrzucając dokoła ziemię, trawę i drobne kamienie. Ras jednak nie zdążył jeszcze na nowo nabić swej strzelby, gdy pantera oprzytomniała, zebrała pod siebie łapy i płaszcząc się na ziemi, przygotowała się do skoku. Szleu odrzucił nie nabity karabin i porwał za swój krzywy nóż. W tej chwili pantera runęła na człowieka. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Zwinny Ras wymykał się panterze, rażąc ją nożem. Drapieżnik obficie broczył krwią, lecz ataku nie przerywał, usiłując wskoczyć na piersi lub na grzbiet myśliwemu.

Widząc, że pantera słabnie, Ras przyjął wreszcie atak; gdy łapy drapieżnika dotknęły jego ciała, schylił się i wbiwszy krzywe ostrze kumii wyprostował się pociągając nóż do góry. Pantera z rozwalonym brzuchem i wypadającymi wnętrznościami runęła jak rażona piorunem, lecz zdążyła zadać ostatni cios wrogowi. Od tego ciosu wszystko zakolowało przed oczami Rasa, wszystko się pokryło czarną mgłą. Myśliwemu zapadła się pod nogami ziemia i potoczył się na dół nieprzytomny, zlany krwią.

Widocznie Allah gniewnym okiem spoglądał na Rasa, gdyż spotykał go zawód po zawodzie...

Słońce zakończyło swój obieg dzienny i znikło za górskimi szczytami na zachodzie, długie cienie zaczęły się ciągnąć przez łąki ku wąwozom i wylewać się do nich ciemnymi potokami, napełniając je mrokiem i wilgocią. Leżący na dnem głębokiego jaru Ras dopiero wtedy po raz pierwszy dźwignął się z zalanej krwią trawy. Dźwignął się i znowu upadł na wznak, blady i wyczerpany. Wkrótce jednak uczynił nowy wysiłek, jęknął cicho i usiadł. Jął macać drżącymi dłońmi głowę, boki, nogi i pierś. Drgnął ujrawszy straszliwą ranę na piersi. Skóra i mięśnie były zerwane potężnym uderzeniem pazurów i wisały jak czerwone strzępy łachmanów, zupełnie podobne do przesiąkniętych krwią skrawków poszarpanego burnusa.

Rana piekła i dotkliwie bolała, przy najmniejszym ruchu powodując omdlenie. Silny Ras walcząc ze słabością czołgał się dnem wąwozu szukając wody. Już nocna mgła pełzła z gór na dno wąwozów, przepaści i jarów, gdy ranny doczołgał się do potoku wartko biegnącego wśród kamieni. Ras, omdlewając z bólu i gorączki, obmył rany, zanurzył rozpaloną głowę do wody, napił się i znowu padł na wznak, ciężko oddychając.

Zemdlał, lecz omdlenie wkrótce przeszło w sen, niespokojny, gorączkowy sen. Gorączka zmieniała się w dreszcze, wstrząsające całym ciałem rannego. Straszne sny i widziadła dręczyły górala. Ras miotał się, krzyczał i jęczał. Coraz częściej widział przed sobą piękną, bladą twarz Czar Azizy. Schylała się nad nim i skarżyła się, że ktoś krzywdzi ją, nastaje na jej życie, prześladowuje i gnębi. Widzenia te były tak żywe, że Ras zerwał się i pobiegł, krzycząc:

– Idę, idę, Azizo, obronię cię, zemszczę się!...

Próżno szukał dokoła siebie karabinu i noża.

Klął i szukał, aż nagle błysnęło mu wspomnienie o walce z panterą, gdy to odrzucił od siebie karabin, a swoją wierną kumia zostawił w ciele zabitego zwierza.

– Czekaj Azizo, czekaj, piękna, umiłowana Czar! Obronię cię gołymi rękoma, zębami przegryzę gardziele tym, co krzywdzą cię, moją żonę!

Nic nie widząc i nic nie zaznając, biegł, padał, lecz znowu się podnosił i biegł dalej. Narazie potknął się o kamień i zaczął się staczać coraz niżej i niżej, uderzając się głową o kamienie i drapiąc sobie twarz i ręce o gałęzie krzaków.

Zemdlał...

Noc minęła, wyjrzało słońce i stało już wysoko, lecz Ras wciąż leżał nieruchomo, do trupa podobny, bielejąc w trawie poplamionym krwią burnusem.

Gdy słońce zaczęło przypiekać straszliwie, Ras poruszył się kilka razy i usiadł, podtrzymując rękoma pękającą z bólu głowę.

– Umrę... – jęknął – umrę i nigdy już nie nasycę oczu swoich pięknnością Azizy! Nigdy nie wyjdę z tego wąwozu.

Ranny zaczął się oglądać i nie mógł zrozumieć, w jaki sposób dostał się tu na drogę, ponieważ nie pamiętał, że biegł dnem wąwozu, aż upadł i stoczył się z pochyłych spadków do podnóża gór, gdzie przechodziła droga, którą wożono zwykle drzewo i węgiel z Atlasu.

Podnieść się jednak Ras nie mógł; słaby był i przed oczami latały mu zielone i czerwone płatki. Zaczął więc czołgać się na brzuchu i kolanach od strumyka, gdzie trochę oprzytomniał. Siły zwolna mu powracały.

– Odpocznę i ruszę do domu... Niech mnie sądzą i stracą, lecz muszę ujrzeć żonę i być pogrzebany, jak prawdziwy „mumen”...<sup>5</sup>

Nie miał jednak siły, aby się podnieść i iść, mógł tylko czołgać się, pełznąć, jęcząc i omdlewając z bólu i zmęczenia.

Pełznął więc w stronę szczytu Sahridż, od którego zaczynała się właściwa droga do jego wsi. Przeczolągawszy się około stu kroków zemdlał z wyczerpania.

Obudził się od przyjemnego zimna i nagle ustającego bólu. Ujrzał nad sobą jakiegoś starszego człowieka w białym zawoju na głowie. Człowiek ten przemywał mu rany na głowie i piersi i przykładał jakieś ziółka, które wyjmował ze skórzanego woreczka wiszącego na pasie. Obok stał osiołek z dwiema torbami, przerzuconymi mu przez grzbiet.

– Kim jesteś? – spytał Ras słabym głosem, usiłując podnieść głowę.

– Leż! – rzekł rozkazującym głosem starzec. – Jestem Abd er Ferhut, „kahin” i „hakim”.<sup>6</sup> Mieszkam tu w górach, jeździłem na poszukiwanie ziół magicznych i leczniczych i znalazłem cię omdlałego. Rany twoje są niebezpieczne, gdyż pazury „namera”<sup>7</sup> o tej porze roku są pełne jadu. Zawiozę cię do swego domu, gdzie musisz długo leżeć, aż się wyleczysz, inaczej – śmierć!

Stary czarownik napoił rannego zimną wodą źródlaną, owiązał mu szmatami oderwanymi od burnusa rany i z wielkim trudem wsadziwszy go na osiołka, ruszył z Rasem w drogę.

Osiołek zszedł niebawem z drogi i zaczął się wspinać spadkami gór.

– Gdzie mieszkasz, sidi?<sup>8</sup> – zapytał Ras.

– W grocie szakali – odpowiedział starzec. – Francuzi ścigają lekarzy berberyjskich, a wielcy kaidowie dopomagają im w tym. Muszę się kryć, mieszkać na odludziu, lecz wierni znają siłę leków moich i znajdują moją kryjówkę.

<sup>5</sup> Mumen – prawdziwy muzułmanin.

<sup>6</sup> Kahin – czarownik; hakim – lekarz.

<sup>7</sup> Namer – pantera.

<sup>8</sup> Sidi – pan; tytuł ludzi znakomych.

– Słyszałem o tobie nieraz, sisi Abd er Ferhut – szepnął Ras słabym głosem. – Jesteś dobroczyńcą ludzi cierpiących i moim teraz. Jakżeż ci się odwdzięczę?

Stary hakim zamyślił się. Milczał długo, aż rzekł:

– Opowiedz mi, co ci się przydarzyło?

Ras opowiedział o zajściach ostatnich dni, a więc o nieszczęśliwym napadzie na karawanę, o śmierci towarzyszy, o grożącej mu zemście wielkiego kaida Glaiu, o porzuconej żonie i o wypadku na polowaniu.

– Zabiłeś, młodzieńcze, panterę! – wykrzyknął stary. – Możesz mi się od razu odwdzięczyć za pomoc i leki. Czy jesteś dość przytomny i silny, aby przypomnieć sobie miejsce, gdzie leży zabity przez ciebie zwierzę?

– Jeżeli znajdziesz czerwone skały Dżurf, wskażę ci to miejsce, sisi – odparł Ras.

– Czy czujesz w sobie dość siły, aby dojechać tam? – pytał niespokojnie hakim.

– Myślę, że tak! Czuję się silniejszym teraz i ból mi nie dolega – rzekł ranny.

– No, to jedziemy, bo gdy drugie słońce zajrzy zabitej panterze w oczy, straci ona siłę magiczną – objaśnił starzec. – Musimy się spieszyć.

Ras dopomógł czarownikowi wyszukać zabitego zwierza. Starzec był uszczęśliwiony i od razu wziął się do roboty. Wydłubał panterze oczy, wyrwał jej niektóre kły i pazury, wyciął serce i worek żółciowy i w końcu zdarł z grzbietu duży kawał skóry.

– Co będziesz, sisi, robił z tym wszystkim? – pytał zdziwiony Ras.

Abd er Ferhut usiadł przy nim i starannie zawijając w szmaty swoje skarby, objaśnił:

– Potrzebne mi to było od dawna na talizmany, na najbardziej potężne „herz” przeciwko ranom i śmierci od kul i noża, na podniecenie odwagi, a żółć – na lekarstwo dla synów sułtana. Żaden z hakimów i kahinów w Mahrebie nie posiada takiego skarbu, jaki trafił dziś w moje ręce! Niech Allah wynagrodzi ciebie, synu!

– To ja musiałbym wyrzec te słowa przed tobą, sisi! – odparł Ras, całując podług zwyczaju starca w rękę i w poję jego burnusa.

Późno w nocy dowiózł stary czarownik rannego do swej jaskini. Zanim weszli do wnętrza, hakim wyjął ze skrytki w skałach butelkę z olejem, nalał z niej do małej lampki kilka kropel, zapalił knot, a później oderwał od burnusa Rasa pasemko, przesiąknięte krwią.

– Gdy wejdziemy do grotty, gdzie, jak wiesz, zawsze mają swą siedzibę dżinny<sup>9</sup>, postaw na ziemi lampkę i spal na niej ofiarę z własnej krwi, mówiąc dziewięć razy te słowa: *Dem-rat-i-afrit, Mudib, El-Ahmer, Borkan...*<sup>10</sup> To powinno przebłagać duchy, będą one miłosierne dla ciebie, synu!

Ras uczynił tak, jak radził starzec, i wkrótce leżał już na miękkim pościeliu w zimnej jaskini, gdzie cicho dzwonił strumyk wytryskujący z piersi górskiej i potrzaskiwał ogień rozpalony przez czarownika gotującego strawę.

Ras spędził dwa tygodnie w kryjówce Abd er Ferhuta, czając się w głębi jaskini, gdy do lekarza przychodzili chorzy i potrzebujący jego rady nie tylko górale Szleu, Suss i Draa, lecz nawet Berberowie z północy, z ziemi Dukkala, – Cziadma i Ben-Ahmer. Wkrótce ranny mógł już chodzić, więc pomagał swemu dobroczyńcy w poszukiwaniu i zbiorach drogocennych i magicznych roślin, używanych w lekach, talizmanach i amuletach, a więc henna, harmel, udn-ed-far, takandin, kerbiuna, aloes, korzeni dzikiego szafranu, kory drzewa adrar i setek innych traw, ziół, drzew i owoców; łapał w sidła czubate dudki i so-wy, polował na hieny i szakale, bo z mózgu, żółci, oczu i serca tych ptaków i zwierząt Abd er Ferhut sporządzał czarowne, tajemnicze nufra, hedżab, herz, dżeduel i inne talizmany, których nazwy góral nie mógł zapamiętać.

---

<sup>9</sup> Dżinn – duch, demon.

<sup>10</sup> Niezrozumiałe słowa używane w zaklęciach. Prawdopodobnie są to zaklęcia, pozostałe po Kartagińczykach.

Tymczasem tęsknota za żoną nie opuszczała go. Ciągłe widział ją przed sobą, trwożył się jej losem, rwał się duszą i ciałem do swej orlicy, szeptał bezdźwięcznymi ustami tysiączne słowa miłosne a pieszczotliwe; po nocach rozmawiał z nią, miotał się, budził się, myśląc, iż przyszła do niego, a później, ściskając zęby, łkał i syczał z bólu i rozpaczy.

– Daj mi, sidi, amulet, aby zabić tęsknotę za Czar Azizą – wołał w rozpaczy, całując po rękach starca.

Ten smutnie kiwał głową i odpowiadał:

– Tęsknota za kobietą jest siostrą miłości, synu mój! Wielka miłość – to dar Allacha. Jakżeż mogę odbierać ci dar Allacha? Mogę dać ci amulet, który odda miłość twoją w ręce złego ducha, a ten zabije tę miłość na zawsze, bezpowrotnie. Chcesz-li tego?

– O nie, dobry sidi, o nie! – wołał góral. – Wolę jeszcze gorszą mękę, lecz bez miłości do Azizy – umrę! Umrę, sidi!

Ras głową bił o ziemię, twarz sobie do krwi drapał i krzyczał z tęsknoty.

Pewnego poranku podszedł do czarownika i rzekł:

– Niech Allah ma cię, sidi, w swojej opiece! Allah el Muhaimin, Allah en Nur, Allah el Hadi, Allah el Abad,<sup>11</sup> niech będzie błogosławiony Allah we wszystkich swych dziewięćdziesięciu dziewięciu imionach i niech On wynagrodzi ciebie za mnie – niegodnego niewolnika swego, swego sługę i wyznawcę! Muszę już iść, bo w bezczynności nie uporam się z myślami i tęsknotą moją... Będę coś przemyślał, coś robił, aby prędzej czas biegł i aby rychlej przyszła godzina, gdy będę mógł założyć nowe gniazdo, rozpalić swoje ognisko i ujrzeć przy nim Czar Azizę. Niech Allah Akbar ma cię w swej opiece, dobry starcze!

Ucałował ręce czarownikowi, do kolan mu padł i poszedł, odprowadzony smutnym wejrzaniem dużych czarnych oczu Abd er Ferhuta. Milczał stary czarownik, nie mógł słowa pociechy znaleźć w swej głowie i sercu, gdyż rozumiał, że Allah rzucił odchodzącemu taki dar, który przygniata go do ziemi łatwo zamienić się może w przekleństwo, karę i zagładę.

Za duża jest ta miłość dla serca Rasa ben Hoggar! – myślał stary czarownik. – Ciężki kawał złota włożony do małego wora rozrywa go i toczy się z góry, a inni ludzie podnoszą złoto, rozerwany zaś worek wyrzucony zostaje jak łachman nikomu nie potrzebny... Biedny nieszczęśliwy Ras ben Hoggar! Dokąd poprowadzi cię twój los nieubłagany?

Starzec opuścił głowę stroskaną i zapatrzył się w ogień, gdzie żarzyły się szkarłatne i złote węgle i powoli znikwały bez śladu, zlewając się z szarą, martwą warstwą popiołu...

---

<sup>11</sup> Rytualne imiona Allacha.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### Wśród węzów

Ras pozostawiwszy schronisko czarownika, szedł wąwozami górskimi, unikając dróg i ścieżek w obawie przed spotkaniem z ludźmi. Szedł i myślał, co ma ze sobą zrobić teraz, gdy pozostał znowu sam na świecie. W górach albo zginie, albo dostanie się w ręce spahisów kaida. Postanowił więc przedostać się do Marrakeszu, stolicy południa, gdzie wśród dwustu tysięcy mieszkańców utonie w morzu ludzkim, zmieni imię i wygląd i zniknie bez śladu.

Szedł więc górami na przełaj, kierując się na Sahridż i dalej na Amizmis, skąd miał przekradać się na równinę setkami dróg zatłoczonych karawanami, pątnikami, włóczęgami i meskinami<sup>12</sup> – dróg, prowadzących do Marrakeszu.

Idąc o głodzie, żywiąc się korzeniami, orzechami, oliwkami i wodą spotkał przy źródłach rzeki Suss, na wysokich szczytach Atlasu, dziwnego człowieka. Był to wysoki, chudy jak tyka Berber z pod Meknesu, stary wyga, gaduła i kawalarz, lecz zwinny jak wąż i jak wąż chytry i złośliwy w powiedzeniach i w błyskach małych zezowatych oczu. Nosił długą, rzadką, kozią brodę, której kosmyki zawiązywał w supelki. W okamgnieniu zadał kilka niespodziewanych pytań prostodusznemu góralowi i już wiedział o nim całą prawdę.

Gdy zmieszany Ras, czując, że się zdradził, nie wiedział, co ma robić – pozostać, uciekać, czy po prostu wpakować tej tyce nóż pod piątą żebrę, ten zaśmiał się i rzekł:

– Wiem, o czym myślisz w tej chwili, młody byku! Ani uciekniesz ode mnie, ani zabijesz mnie, lecz pozostaniesz, bo żadna podkowa lepiej nie przypadała memu koniowi niż my obaj – do siebie!

Zaśmiał się głośno i prawił dalej:

– Wyobraź sobie, że nazywam się Soff! Po prostu Soff i to bez żadnego „ben”, „el”, lub „er”, tylko – Soff! Nikt mi nie może zabronić nazywać się Soffem, cha! cha! A teraz znowu wyobraź sobie, młody byku czy ośle, jeżeli wolisz tego bydlaka, że ktoś ci powie: „Soff przelał tyle krwi w swym życiu, ile nie przelano w całym Marrakeszu przez pięć lat; albo, że Soffa ściga krwawa zemsta w Mahrebie, Algerii, Tunisie, Trypolitanii i w Saharze”. Wyobrażasz sobie? No, to dobrze! Wiec słuchaj, gdy ktoś tak powie przy tobie, odpowiedz mu: „Znałem Soffa, ale on gwizdże sobie na krew i na zemstę!” Rozumiesz choć odrobinę z tego, co chciałem powiedzieć, ty pusty rogu bawoli?

Ras zmarszczył się i odparł spokojnie:

– Może masz rację, że dobrze nam będzie razem. Więc ani odejdę, ani pchnę ciebie nożem, lecz przysięgam na Allacha i Mahometa, Proroka jego, że jeżeli jeszcze raz usta twoje wypowiedzą słowa: „młody byku, młody ośle, pusty rogu bawoli”, lub coś innego, równie przyjaznego – tyle z ciebie kurzu wytrzępię, że się chyba przełamiesz, tyko ogrodowa! Czy zrozumiałeś, ty, Soff, bez „ben”, „el” i „er?” Zrozumiałeś? To cieszy mnie. A

---

<sup>12</sup> Meskin – żebrak.

więc ty jesteś Soff, ja nazywałem się do tej chwili Ras, a teraz jestem Abd, też bez „ben” i innych dodatków.

Soff śmiał się na całe gardło, aż echo odzywało się w górach, i wołał:

– Zuch z ciebie, przyjacielu! Podobasz mi się! Lecz Abd to nie idzie!

– Dlaczego? – spytał góral.

– Bo Abd to znaczy niewolnik. Czyim jesteś niewolnikiem? Chyba moim?

– Niech ludzie myślą, że jestem twoim niewolnikiem – zgodził się Ras.

– Na korzyść to wypadnie i mnie, i tobie, Abd! – rzekł Soff.

– *In cza Allah!* – zakończył tę rozmowę góral.

Nowi przyjaciele ucałowali się w policzki dwukrotnie, jak to stary zwyczaj nakazuje.

Soff zaczął opowiadać o sobie.

Był zaklinaczem węzów i włóczył się po całym Maroku, Algerii, Tunisji, zaglądając nawet do Trypolitanii włoskiej i do Egiptu.

– Przybyłem tu po węże – mówił. – Po nowe węże, bo moje zupełnie się zestarzały i osłabły. Nie chciały ani jeść, ani złościć się, ani gryźć. Leżały jak kije lub kawały liny. Sprzedałem je za dobre pieniądze jakiemuś fuszerowi z Rabatu i oto jestem tu i łapię sobie węże, mam już dwa, muszę mieć jeszcze trzy lub cztery. Im więcej ich będę miał, tym poważniej i straszliwiej będę wyglądał, tym bardziej teraz, gdy będę miał swego niewolnika. Nauczę ciebie swojej sztuki, gdyż może ci się to nieraz w życiu przydać, młody by... kochany przyjacielu.

– Doskonale, że się poprawiłeś, Soff – zaśmiał się góral – i to, że nauczysz mnie swego fachu.

Tego wieczoru stary wyga rozpoczął naukę.

Po wieczerzy, siedząc przy ognisku, wystrząsnął z worka dwa węże. Ujrzawszy je Ras skoczył na równe nogi i odbiegł od ogniska.

– Przecież to jadowita „bham!”<sup>13</sup> – krzyknął przerażony.

– Tak, to bham – odparł spokojnie Soff.

Mówiąc to zaklinacz wyciągnął dłoń nad wężem. Ten podniósł swoją płaską głowę z szeroką paszczą i bacznie śledził za ruchami człowieka. Soff tymczasem ruszał palcami i trzymał drżącą rękę nad głową wipery. Wszystkie ruchy dłoni były powolne i miarowe, a ręka coraz bardziej się zniżala, aż zaklinacz szybkim ruchem dotknął głowy węża i przycisnąwszy ją do ziemi drugą ręką zaczął gładzić płaza od szyi aż do końca ogona. Gładził lekko i bardzo powolnie, aż wąż zaczął zżymać się i drzeć, przymknął oczy i raz po raz oblizywał się błyskawicznymi ruchami długiego i cienkiego języka.

– Lubią one to! – szepnął Soff. – Zaraz uśnie...

Istotnie po chwili wąż leżał nieruchomo, nie dając znaków życia. Soff wziął go do rąk, przybliżył do swej twarzy straszliwą, jadowitą paszczę węża, owinał nim swój zawój, rzucał go kilka razy na ziemię, niby grubą kiskę gumową, i znowu brał do rąk.

– Śmiały z ciebie człowiek! – zawołał zdumiony Ras.

– Nie tyle śmiały, ile mądry! – poprawił go Soff. – Trzeba znać obyczaje węzów. Głodny lub półsyty nie da się wziąć w ręce, napadnie, ugryzie i zabije. Na wolności wąż jest zawsze głodny i rzeczą najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą jest jego schwytywanie. Gdy się to już udało, wtedy reszta stanowi już zabawkę. Schwytanego węża pakuje się do wora, gdzie wpuszczam przedtem kilka żab, myszy lub małych ptaszków. Głodny gad rzuca się na zdobycz i najada się straszliwie, po czym jest zupełnie bezsilny i obojętny. Od tej chwili węża stale się trzyma w stanie pełnego nasycenia, a nawet przesylenia. Można wtedy z nim robić, co się komu spodoba. Lubi wtedy, gdy go głaszczą po grzbiecie, bo to pomaga trawieniu i zmusza pożywienie, połknięte z kośćmi, włosami i piórami, posuwać

---

<sup>13</sup> Tak nazywają górale Atlasu węża – wiperę (*Vipera Mauritanica*).

się do żołądka i dalej – do kiszek. Sprawia to wężowi taką przyjemność, że błogo zasypia. Nieraz widziałem w pustyni i w górach, gdzie się gnieźdzą gady, że węże same, ledwo się czołgając, szukały gałęzi krzaków lub kamieni, aby się ocierać o nie. Wyciągnięta dłoń i ruszające się palce przypominają im właśnie gałęzie i dlatego z błogością patrzą na nie i podnoszą się, aby się o nie otrzeć. W tym cała sztuka. Trzeba tylko rozumieć węże. Tak zakończył swe opowiadanie Soff.

– Czyżby bham nigdy nie rzuciły się na zaklinaczy? – spytał zdziwiony góral.

– Zdarza się to, lecz my staramy się chronić przed jadem węzów – odparł Soff. – Doświadczysz tego na sobie wkrótce, musimy tylko złapać jeszcze kilka gadów, a wtedy pojedziemy do kubby naszego patrona Mohammeda ben Snussen el Dżilali i tam uczynię z ciebie najprawdziwszego zaklinacza!

Nazajutrz od rana nowi przyjaciele szperali wśród kamieni i gęstych krzaków, płosząc węże. Obaj byli uzbrojeni w długie tyki z widelkami na końcu.

Góral spotkał kilka węzów i przycisnąwszy je widelkami do ziemi wołał na Soffa. Ten przychodził i obejrawszy żmije wyrokował:

– Puść je na wolność, Abd, jest to nieszkodliwy wąż, groźny chyba tylko dla myszy.

Lecz zdobycz nareszcie wpadła w ręce górala. Spostrzegł wśród kamieni długiego, prawie czarnego węża szybko uciekającego. Gdy człowiek dogonił go, gad podniósł się i w tej chwili zaczęła mu nabrzmiwać szyja, aż się zmieniła w okrągłą tarczę, czy krótki płaszcz, zarzucony na kark. Góral, nie namyślając się długo, zręcznie przycisnął węża do ziemi swymi widelkami i począł krzyczeć:

– Soff! Soff! Chodź prędzej! Złapałem coś dużego i zdaje się porządnego. Pędź, pędź, bo się wyrzywa!

Zaklinacz przybiegł i ujrawszy węża błysnął radośnie oczami, w których jednak Ras dojrzał trwogę.

– Trzymaj go mocno – szepnął – trzymaj, bo inaczej zginiesz! Jest to najstraszliwszy ze wszystkich węzów kraju – to „naja”. Jad jej niesie śmierć pędzą, niż od kuli przeszywającej serce. Trzymaj, ja zaraz powrócę!

Zaklinacz szybko się oddalił w stronę obozu. Gdy powrócił, miał ze sobą sporą, skórzaną sakwę, dobrze czymś wypchaną. Zapuścił do niej rękę i wyrzucił na ziemię kilka szczurów i myszy, żyły, lecz pozostawały nieruchome, ponieważ były mocno skrępowane cienkimi drutami lub końskim włosiem. Soff wybrał największego szczura i dwie myszy, oswobodził je z pęt, a gdy poruszyły się żywiej, przycisnął im grzbiety długim, do rogu podobnym paznokciem wielkiego palca. Zwierzątka z przełamanymi grzbietami bezradnie wiły się na ziemi.

– Puszczaj węża i uciekaj pędem! – wykrzyknął zaklinacz, odbiegając na stronę.

Góral spełnił rozkaz i zatrzymał się o jakie dwadzieścia kroków dalej.

Zwolniona naja natychmiast podniosła się, rozdęła szyję i zaczęła się oglądać wściekłymi źrenicami. Od razu dojrzała ruszające się zwierzątka. Wparła w nie swe nieruchome, przenikliwe źrenice, zamarła, wyprężona, podobna do rzeźby ze spiżu lub czarnego agatu i raz po raz wysuwać zaczęła cienki, długi język, ostry na końcu jak żądło jadowitej muchy.

Po chwili uniosła się jeszcze wyżej i w okamgnieniu z szybkością błyskawicy rzuciła się na szczura, zatopiła w jego ciele straszliwe kły, pełne zabójczej trucizny, jednocześnie obejmując ofiarę czarnymi zwojami silnego ciała, które się przeżyło i drgało w namiętym skurczu wszystkich mięśni. Szczur już się nie ruszał, więc naja wypuściła go i rozpoczęło się ohydne widowisko połykania ofiary z kośćmi i włosiem. Wąż rozdziawił paszczę i wciągnął w nią szczura, z trudem łykając i wypuszczając całe potoki śliny. Ciało węża skręcało się w konwulsjach, drgało, a ogon kurczowo czepiał się kamieni lub z rozmachem uderzał o ziemię. Nareszcie robota była skończona. Widać było, że szczur utkwiał w gardle, a naja wciąż łykała, usiłując skurczami mięśni przesunąć go dalej. Po szczurze przyszła

kolej na myszy. Powtórzyła się ta sama straszliwa i odrażająca scena. Ostatnia mysz już nie mogła się zmieścić w gardle naji i do połowy bezwładnie zwisała jej z paszczy.

– Teraz wąż nasz! – zawołał radośnie Soff, podchodząc do nieruchomej żmiji. Bez żadnej obawy wziął ją do rąk i położywszy sobie na kolanach, zaczął ją gładzić po grzbiecie i brzuchu. Wąż wyciągnął się, lecz wkrótce drgawki jęły biec wzdłuż ciała, dowodząc, że mięśnie znowu pracować zaczęły, przesuwając przelknięte pożywienie dalej i dalej. Powoli znikająca zwisająca z paszczy mysz, a naja stawała się coraz bardziej bezwładna i nieruchoma, aż usnęła. Wtedy Soff rozwarł jej paszczę i z mięsistych fałdów dziąseł ukazały się straszliwe, zagięte ku tyłowi, ostre kły.

– Wypuściła wszystek jad – zauważył zaklinacz – nie jest teraz groźniejsza od żaby. Dopiero za dwie godziny w torebkach położonych tuż przy podnóżu kłów tworzyć się zacznie białawy płyn trujący, którym naja zabija swoje ofiary. Starzy zaklinacze wrywali węzom te torebki, lecz pokaleczone węże żyły później krótko, bo nic nie jadły. Teraz robimy inaczej, pozostawiamy im ich jad, lecz trzymamy gady w przesycie, aby były bezwładne i nie miały potrzeby używać swych kłów do napadu. Szybko się od tego odzwyczajają i rzadko, bardzo rzadko ujarzmiony wąż ugryzie człowieka, bo już po paru tygodniach nawet przy zabijaniu szczurów nie posiłkuje się zębami, dusi je tylko i łyka.

Mówiąc to, Soff wrzucił węża do długiego, wąskiego koszyka, obwiązanego płótnem. Połów tego dnia był udany, przyjaciele znaleźli bowiem i schwytali jeszcze trzy wipery i kilka długich czarnych żmij, zupełnie do naji podobnych, lecz nie jadowitych i powolnych w ruchach.

Spędziwszy noc przy ognisku, o świcie naładowali swoje koszyki na konia i ruszyli w drogę. Dopiero przed wieczorem ujrzeni na szczycie góry ruiny białego budynku z okrągłą kopułą.

– *La Illah illa Allah u Mahomed rassul Allah, Allah Akbar*<sup>14</sup> – zawołał Soff.

Ras z nabożeństwem powtórzył słowa tradycyjnej modlitwy muzułmańskiej i spojrzał pytająco na towarzysza.

– Jesteśmy u celu naszej podróży – rzekł Soff. – Mamy przed sobą grobowiec sidi Mohammeda ben Snussen el Dżilali, patrona zaklinaczy węzów i przewodników karawan. Tu spędzimy kilka dni, abys mógł osiąść wszystkie tajemnice naszego zawodu i przygotować się do niego należycie.

Soff sumiennie uczył swego towarzysza wszystkich sztuk zaklinaczy węzów. Nie były one zbyt zawile i wymagały tylko pewnej zręczności i wymowy. Ras prędko się nauczył, jak potrzeba odwracać uwagę widzów od tego, co robi zaklinacz, który bez przerwy mówi do otaczającego go kołem tłumu. Przejął od Soffa jego pełne ognia modlitwy do Allacha i do patrona zaklinaczy Mohammeda el Dżilali, formuły niezrozumiałych, tajemniczych zaklęć, nerwowe, porywcze ruchy, podniecające wykrzykniki i zagadkowe mruczenia nieznanymi słowami.

Soff pokazał mu, jak się należy obchodzić z węzami, które mają ugryźć zaklinacza na oczach widzów. Soff brał wipery, rozdzierał im jak najszerzej paszcze, a gdy ukazywały się kły, wtedy kapała z nich jadowita ciecz.

– Widzisz, Abd – mówił stary zaklinacz – wąż nie ma teraz w sobie ani krzty trucizny, a więc jest zupełnie bezpieczny. Może teraz ugryźć nowonarodzone dziecko bez żadnej przeszkody. Właśnie w takim jałowym stanie powinien ten gad ugryźć zaklinacza. Lecz wąż jest opchany, nie ma ani złości w sobie, ani chęci do napadu. Jest przejedzony, ospały i prawie bezwładny. Więc sam zmuszony jestem „gryźć się” jego kłami. Uderzam paszczą w swoją głowę, a że mam na niej gęstą, dobrą czuprynę, wycieram o nią z zębów płaza resztki trucizny, o ile ona jeszcze pozostała na nich lub w paszczy wipery, a teraz trę się

---

<sup>14</sup> Nie ma Boga oprócz Allacha i Mahometa – proroka przedwiecznego Allacha.



czołem o kły. Mogłyby mnie zadrasnąć, gdyby nie były zagięte w tył, a więc nieznacznie dotykam ręką czoła i widzisz, jak spływa z niego struga krwi.

Ras krzyknął przerażony, widząc krew, którą Soff zręcznie rozmazał po całej twarzy.

Zaklinacz śmiał się beczelnie i objaśniał dalej:

– Rozduśiłem na czole woreczek z pęcherza, napelniony czerwoną farbą, przyjacielu! Miotając się i krzycząc, rozmazuję ją po twarzy. Co? Wyglądam przerażająco? A teraz drgawki i wymioty... Tego się nauczysz później, na praktyce.... Na końcu modlitwa do Allacha i naszego patrona, po której mokrą szmatą ścieram z twarzy krew i pokazuję, że rany, których wcale nie było, zabiłiły się bez śladu... Rozumiesz?

– Rozumiem! – śmiał się Ras. – Pamiętam, że zawsze z przerażeniem spoglądałem na zaklinaczy węzów i prosiłem Allacha, aby im nic złego się nie stało. A to tymczasem zwykła sztuka!...

– Za którą, mój bracie, głupi tłum zawsze łakomy widowiska i niebezpieczeństwa dla swego bliźniego, wrzuca do koszyka zaklinacza pieniądze... To już lepiej, nieprawdaż?

Góral śmiał się serdecznie i zaczął powtarzać pokazaną mu sztukę, a że był to człowiek wesoły i dowcipny, tak zabawnie gadał, że nawet nawykły do podobnych widowisk Soff nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Dobre pieniądze będziesz zarabiał, przyjacielu Abd! – wołał, radośnie zacierając ręce. – Gadasz nie gorzej od błaznów, śmieszących gapiów na Dżema el Fna.<sup>15</sup> To się opłaca! Ja tego nie umiem, wolę nabierać widzów na strach i ponure miny, przerażając tłum.

– Po co nałowiliśmy tyle nieszkodliwych czarnych węzów? – zapytał Ras.

– Na sprzedaż! – odpowiedział Soff. – Kupują je chętnie Francuzi, gdyż te węże wyłapują myszy w domach, ale najdrożej za nie płacą zaklinacze węzów, o ile należą do sekty Ajsaua.

– Ach! – przerwał mu góral – to ci dziwacy, co żebrzą po drogach i zjadają pająki, szarańcze, żaby i inne nieczyste twory?

– Tak! tak! – odparł zaklinacz. – Otóż oni, o ile trudnią się naszym zawodem, po domniemanym ugryzieniu przez węża zamiast modlitwy i zaklęć używają innego sposobu „zniszczenia jadu”. Biorą te niewinne żmije, przegryzają im szyję, obdzierają ze skóry i zjadają ich mięso, paląc resztę na węglach, jako ofiarę demonom, zamieszkującym w trujących żmijach. Ajsaua drogo, bo po pięć franków płacą za każdego nieszkodliwego węża.

Gdy Ras posiadał już wszystkie tajemnice zaklinania węży, Soff przystąpił do najtrudniejszej i najbardziej przykrew części zawodu. Musiał zrobić swego towarzysza odpornym na jadowite ugryzienie, na wypadek, gdyby był zaatakowany przez wiperę lub naję czy to podczas schwytania dzikiego gada, czy podczas przedstawienia na placu, na oczach gawie-dzi ulicznej.

Zaklinacz zrobił na ramieniu Rasa małe nacięcie i utoczywszy z kłów węża trochę jadowitej cieczy, rozpuścił ją w wodzie, zmusiwszy towarzysza aby ją zmieszał z własną śliną. Tak przyrządzonym płynem zalał rękę. W kilka minut później Ras dostał zawrotu głowy, krew mu napłynęła do czoła, oczu i ust, drgawki wstrząsnęły całym ciałem, z narbrzmiałych warg i języka płynęła piana, w piersiach rzęziło. Trwało to przez kilka minut, po czym całe ciało zlało się obfitym potem i Ras czuł wielkie osłabienie; w kwadrans później wszelkie oznaki zatrucia minęły jednak bez śladu. Dwa razy dziennie góral przechodził tę kurację, a Soff powoli zwiększał dawki trucizny.

– Jest to starodawny sposób, wynaleziony przez jakiegoś króla nubijskiego – opowiadał zaklinacz. – Ten król obawiał się zamachu na siebie i zwolna się przyzwyczajał do trucizny wszelkiego rodzaju. Nikt go nie mógł struć, nawet jad naji prawie nie działał na niego.

---

<sup>15</sup> Dżema el Fna – główny plac Marrakeszu.

Zapisał ten sposób, ze słów starców, znakomity hakim arabski Awicenna, a my, zaklinacze, stosujemy się do rad tego lekarza.

Tak spędzał czas góral w gąszczu krzaków, otaczających kubbę Mohammeda ben Snussen el Dżilali, patrona zaklinaczy węzów, ponieważ on to podobno wynalazł w lekarskiej i magicznej księżce Rahm receptę sławnego lekarza Awicenny. Lecz i przewodnicy karawan dążących przez pustynię też chętnie zbaczali z drogi, aby przy samotnej kubbie modły zanieść do Allacha i zaszyć do szkaplerza, wiszącego na piersi, szczyptę ziemi z grobowca Mohammeda el Dżilali, gdyż to chronić miało ludzi i wielbłądy od napadu jadowitych bham i straszliwych, śmierć niosących naja.

Pewnego poranku Soff nalepił kilka cienkich błonek aloesu na policzki Rasa, zmieniając do niepoznania jego twarz, gdyż zeszpeciły ją sztuczne czarne blizny.

Nawet twoja Czar Aziza nie poznałaby ciebie, przyjacielu – zaśmiał się Soff, przyglądając się bacznie zmienionym rysom towarzysza. – Teraz możesz iść do Marrakeszu bezpiecznie!

Nazajutrz o wschodzie słońca wyruszyli w drogę i już przed wieczorem weszli na nagą płaszczyznę, rozciągającą się pomiędzy Atlasem a rzeką Tensift, gdzie u podnóża gór Gheliz czerniła się oaza Marrakeszu ze strzelającą do nieba wzorzystą kolumną meczetu Kutubia, połyskującego na słońcu barwną emalią swych ścian.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### Orlica

Czar Aziza pożegnawszy męża prawie nie wychodziła z domu. Czyniła to nie dlatego, żeby się kogoś bała, lecz każdym nerwem swoim czuła, że ukochany człowiek znajduje się gdzieś w pobliżu. Instynktownie czekała na niego, gotowa każdej chwili zerwać się i biec mu z pomocą.

Nie było jednak żadnych wieści o Rasie. Kobieta wiedziała, że wielki kaid pchnął swych spahisów<sup>16</sup> na wszystkie drogi i w głąb gór dla schwytania przywódcy napadu na karawanę, więc drżała o los męża. Aziza dowiedziała się w kilka dni później, że pościg powrócił nikogo nie znalazłszy. Wtedy kobieta zrozumiała, że mąż jej jest już daleko i że pozostała sama na świecie, bezbronna i bez opieki. Długo i gorzko płakała Aziza, spędziła kilka nocy bezsennych, gdy dopiero przed świtem zapadała w stan półprzytomny, a wtedy z półmroku wypelzały jakieś potworne, złowrogie widma i straszne obrazy płynęły przed jej oczyma. Widziała Rasa leżącego na ziemi i ogromną panterę, tak wielką jak góra. Potwór siedział na nim i ryczał głuchym głosem. Chwilami słyszała łoskot ciała toczącego się do przepaści i widziała krwawy ślad, którym Ras znaczył urwiste spadki gór. Krzyczała wtedy przerażona, zimnym potem zлана, i gorąco modlić się zaczęła do Allacha Pocieszyciela. Dzień i zgiełk panujący w kasbie, gawędy i plotki sąsiadek nie przynosiły jej ukojenia. Zbladła, miała oczy podkrążone od bezsennych nocy i czerwone od łez, drżące usta i nie znikający wyraz lęku na pięknej twarzy.

Nagle przybiegł do niej od kadiego stary, kulawy czausz<sup>17</sup> i pełnym służbowej tajemniczości i surowości głosem oznajmił:

– Czar Azizo, żono Rasa ben Hoggar! Na rozkaz naszego kadiego masz się stawić przed jego obliczem na sąd.

Zaczyna się moja męka! – pomyślała kobieta, a serce ścisnęło się jej boleśnie. Trwało to jednak chwilę tylko. Wyprostowała się dumnie i odparła:

– Sidi! Kadi może wezwać mnie przed siebie, lecz nie na sąd, bom nie zbrodniarka i przepisów Świętej Księgi<sup>18</sup> przestrzegam surowo... Poczekaj chwilę przed domem. Muszę się przebrać, aby godnie stanąć przed tym, który powinien być obrońcą Koranu.

Tymczasem wieść o zjawieniu się czausza przed domem Rasa lotem błyskawicy obiegła całą kasbę. Tłum kobiet i starców zgromadził się przed domem; wypytywano czausza o przyczynę wezwania żony Rasa do kadiego i o tym, co z nią uczyni sędzia.

Czausz milczał zagadkowo, jak na urzędową figurę przystało, i cierpliwie czekał.

Nareszcie Aziza wyszła z domu. Od stóp do głowy była zawinięta w biały, czysty burнус, cienki „haik”<sup>19</sup> opuszczał się jej na twarz kryjąc rysy i pozostawiając tylko oczy ponuro i groźnie połyskujące. Szła spokojna, dumnie wyprostowana, stanowcza i śmiała.

<sup>16</sup> Spahis – konny żołnierz.

<sup>17</sup> Czausz – woźny.

<sup>18</sup> Święta Księga – Koran; nauka Mahometa (*przyp. red.*)

<sup>19</sup> Haik – zasłona na twarz, noszona przez kobiety na Wschodzie.

– Idziemy, sisi – rzekła donośnym głosem. – Rada jestem, że wzywa mnie kadi, gdyż chcę upomnieć się o męża swego.

– Jak to o męża? – wyrwało się pytanie zdumionemu przedstawicielowi władzy.

– Tak, chcę się upomnieć o męża! – powtórzyła z naciskiem. – Chcę zapytać kadiego, czy już nie istnieje w Mahrebie stara tradycja „Hadith”<sup>20</sup> która nie ściagała górali Szleu, gdy czynili śmiało wyprawy na kupców, prowadzących karawany. To była wojna i każdy tam mógł bronić swego mienia i życia, lecz prawo milczało, gdyż taka istniała tradycja. Czyż nie dobrze mówię, sąsiedzie?

– Słowa twoje są prawdziwe, kobieto! – odezwał się jeden ze starców.

– Dlaczegoż teraz za śmiałe czyny Szleu dostają się do więzienia w Tarudancie, w ręce kata, lub zmuszeni są gasić ognisko rodzinne, porzucać żony, dom i kryć się po górach i lasach niby szakale lub psy zdziczałe?

Głuchym pomrukiem wtórował tłum słowom kobiety.

– Prawda!... prawda!... – wołało kilka głosów na raz. – Tego dawniej nie było!

– Czyżby Koran i Hadith nic nie znaczyły wobec żądań „berrania”,<sup>21</sup> cudzoziemców, tych „rumani”<sup>22</sup> „nezrani”,<sup>23</sup> którzy chcą się rządzić w całym Mahrebie?

– Hańba! – wołano w tłumie. – Wielki kaid i sam sułtan zdradzają Koran i stare tradycje! Hańba!

– Jeżeli dla cudzoziemców ścigają walecznych górali, dlaczego wielki kaid nie zażąda od cudzoziemców wynagrodzenia za zabitych w ostatnim napadzie na karawanę naszych mężów, synów i braci?

– Prawda! Hańba! – rozległy się dzikie okrzyki. – Oddają nas w ręce przybyszów, nikt nas nie broni, nikt nie przestrzega starych obyczajów naszego plemienia, naszego prawa, ustalonego przez Proroka! Nie oddamy Azizy! Będziemy bronili jej przed przemocą zdrajców!

Tłum zaczął otaczać starego czausza, klnąc i wygrażając.

– Uciszcie się, sąsiedzi! – zawołała Czar. – Sama chcę iść do kadiego i upomnieć się o swoje ognisko i o męża. Bądźcie zdrowi i niech Allah ma was w swej pieczy! Allah Jau-nek!

Kobieta, spokojna i dumna, skierowała się uliczką, prowadzącą do biura, gdzie urzędował kadi, a wylekniony, drżący czausz włókł się za nią, straciwszy całą swoją powagę i surowość. Z tyłu, w skupieniu i ponurym milczeniu, posuwał się za nimi tłum wieśniaków.

Tymczasem Aziza doszła do domu sądu i stanęła przed obliczem kadiego. Ten siedział przy stole, przywalonym grubymi książkami, i przez okulary patrzył na stojącą przed nim postać kobiecą. Był to już wiekowy człowiek, dobry i łagodny, od niepamiętnych czasów obierany na stanowisko kadiego. Syn jego, młody Brahim, sprawował urząd sekretarza. Siedział z boku z piórem w ręku, przygotowany do zapisywania zeznań.

– Jak się nazywasz, kobieto? – zadał urzędowe pytanie kadi.

– Nazywam się Czar Aziza, córka Hadż el Ussima, żona Rasa ben Hoggar – padła spokojna odpowiedź.

– Czy znasz Rasa ben Hoggar? – brzmiało następne urzędowe pytanie.

– Dwa lata temu szlachetny Ras ben Hoggar pojął mnie za żonę i wprowadził do swego domu w kasbie. Od tej chwili aż do tego czasu podtrzymywałam ognisko w domu mego męża i pana – odparła kobieta.

– Wiesz, po co cię wezwałem tu? – pytał stary kadi.

---

<sup>20</sup> Tradycje muzułmańskie są ujęte w osobne, obok Koranu istniejące, prawo, tzw. „Hadith”.

<sup>21</sup> Berrania – przybysze.

<sup>22</sup> Rumani – Europejczycy.

<sup>23</sup> Nezrani – chrześcijanie.

– Nie wiem – rzekła Aziza. – Lecz przyszedłam tu sama, bez twego, sidi, wezwania, aby zapytać cię o „surat”<sup>24</sup> Koranu, o artykuł prawa i Hadith pozbawiający bez przyczyny żonę męża, a męża – rodziny i domu.

Zdumiony kadi zdjął okulary i zaczął je przecierać, sekretarzowi pióro wypadło z rąk.

– Twój mąż – złoczyńca, ściga go prawo? – zawołał sędzia.

– Dowieść musisz zbrodni, sidi, i pokazać prawo, karzące ją! – szepnęła kobieta.

– Na Allacha! – wykrzyknął starzec. – Przecież Ras ben Hoggar był hersztem bandy, napadającej na karawanę pomiędzy Ifni a Tarudantem?

– Tego ja nie wiem, czy mąż mój i pan mój był hersztem. Lecz gdyby nawet tak było, to jak Szleu są Szleu, tym się trudnili nasi mężczyźni i dopiero od dziesięciu lat...

– Milcz, kobieto! – wrzasnął kadi. – Taka jest wola wielkiego kaida, aby ustały napady na drogach karawanowych. Czy nie wiesz o tym?

– Wiem – rzekła Aziza, – ale też wiem, że w naszym prawie pisanym nie ma woli wielkiego kaida, jest tylko wola Allacha i Jego proroka Mahometa. Allach i Mahomet zaś nie zakazywali wojny i odważnych czynów. Prawo więc nie może ścigać Rasa, męża mego. Błagam cię przeto, sidi dobry i sprawiedliwy, który byłeś przyjacielem ojca mego męża, Hoggara ben Mohammeda, swego towarzysza w wyprawach na kupców, wiozących kość słoniową i czarnych niewolników, pozwól mężowi memu powrócić do domu swego i widokiem swoim ucieszyć oczy moje!

Kadi i sekretarz milczeli, gdyż takiego obrotu sprawy wcale nie oczekiwali, więc nie wiedzieli, co mają robić teraz z tą kobietą, tak spokojnie i dumnie stojącą przed nimi i rzucającą zrozumiałe dla góralskiego serca i sprawiedliwe słowa poparte prawem.

Nareszcie kadi wykrztusił zdanie:

– Zeznajesz więc, że twój mąż przyjmował udział w napadzie na karawanę?

– Nie, sidi, nie zeznaję! – odparła spokojnie. – Podejrzenie padło na niego, podejrzenie niesprawiedliwe, lecz dostateczne, aby wygnać człowieka z własnego domu i pozostawić kobietę bez opieki i obrony.

– Gdzie jest Ras ben Hoggar? – pytał sędzia.

– Nie wiem, gdzie jest teraz, gdyż z pewnością dowiedział się o pościgu za nim i o podejrzeniu, które padło na niego; błąka się gdzieś bezdomny i zemstą pałający. Mąż mój poszedł był w góry polować na muflony. Być może spotkał się z „namer” i umiera gdzieś w wąwozie od ciężkich ran...

– Nie kłam! – zawołał stary kadi. – Jeden z towarzyszy Rasa zeznał przed śmiercią, że wyprawą dowodził twój mąż... Co powiesz na to, kobieto?

– Powiem ci na to, czcigodny sidi, przyjacielu Hoggara ben Mohammeda, że gdyby cię katowano, jak to czyniono z domniemanym towarzyszem mego męża, to byś z pewnością zeznał, żeś nie z Hoggarem niegdyś napadał na brzegach Draa na kupców, lecz z samym sułtanem Mulej Jussufem, niech Bóg roztoczy nad nim swoją opiekę!

– Jesteś obłudna i zuchwała! – krzyknął zrozpaczony kadi i skinąwszy na czausza dodał:

– Odprowadź ją do domu... tymczasem, Salemie.

– Nie jestem obłudna i zuchwała, sidi – rzekła odchodząc Aziza – znam jednak prawo i obyczaje naszych gór!

Powiedziawszy to wyszła spokojna i wyniosła.

Długo patrzyli w milczeniu za odchodzącą sędzia i sekretarz, a później w zdumieniu głębokim spoglądali na siebie.

– Orlica... – szepnęła stary kadi.

---

<sup>24</sup> Surat – rozdział.

– Orlica! – powtórzył młody Brahim i nie zeznając dlaczego to czyni, zmrużył błyszczące oczy i przeciągnął się rozkosznie.

– Prawdę przecież mówiła ta kobieta? – pytał sędziego.

– Prawdę, ojczel! – zawołał Brahim. – Mówiła, jak sto ulema<sup>25</sup> razem wziętych. Ona się nie da tak łatwo, ta – orlica!

– Co robić? – rozwodził ręce stary.

– Napisać o wszystkim wielkiemu kaidowi i czekać na rozkazy! – poradził sekretarz.

– Chyba... – zgodził się kadi. – Pisz zatem...

Sekretarz schylił się nad papierem, lecz w tej chwili wpadł czausz i zdyszany głosem opowiedział, że w wiosce wybuchnął bunt, który został wszczęty przez Azizę, żonę Rasa ben Hoggar.

Ojciec i syn porwali się na równe nogi podbiegli do czausza, który szczegółowo opowiedział o wszystkim, przeplatając swe słowa modłami za kadiego i wielkiego kaida, władcę i pana szczepów górskich. Do późnej nocy pisał młody Brahim doniesienia do Tarudantu, gdzie w tym czasie sprawował sądy sam Glau, wielkorządca Atlasu.

Tymczasem w całej kasbie wrzało jak w ulu, a zawrzało jeszcze bardziej, gdy z pól, ogrodów i lasów powrócili mężczyźni i dowiedzieli się o tym, co zaszło w wiosce. Słowa Azizy padły na dobry, podatny grunt, górale bowiem od dziadów – pradziadów trudniący się wojną i rozbojami na drogach karawanowych i nawykli do rycerskiego i zbójckiego procederu, od dawna byli niezadowoleni z nowych porządków. Wojowniczy Szleu nie umieli i nie chcieli grzebać się przy roli, karczować lasów i paść bydła. Zmuszeni do tego przepisami zakazującymi, pod groźbą ciężkiej kary, napadów i śmiałych wypraw, podupadali znacznie, przeżywając nieraz lata głodu i nędzy.

Aziza, zdawało się, otworzyła wszystkim oczy, objaśniała, że przepisy kaida są ustępstwem dla białych przybyszów i nie opierają się na prawie, a nawet są z nim w niezgodzie. Wieś przygotowała się do burzliwego protestu. Po domach ostrzono krzywe noże, stare dziadowskie szable, wśród których można było odnaleźć niegdyś przywiezione przez Maurów andaluzyjskich z Hiszpanii, gdy tam panowali czarni królowie w Sewilli, Granadzie, Kordobie i Toledo; gromadzono proch i ołów, lano kule, czyszczono i naprawiano karabiny, opatrywano uździenice, siodła i strzemiona, napełniano sakwy chlebem, suchym prosem, kawą i solą. Zdawało się, że ludność małej kasby robi przygotowania do wielkiej wojny.

Dowództwo nad wojownikami postanowiono oddać Brahimowi, synowi kadiego, ponieważ był najlepszym po Rasie ben Hoggar strzelcem i jeźdźcem, odznaczającym się podczas wielkich fantazja,<sup>26</sup> odbywających się w święta Bejramu w Tarudancie i Agadir. Wylękniony jednak młodzieniec uchylił się od tego zaszczytu, a wtedy wynikły spory i intrygi pomiędzy innymi pretendencjami na stanowisko wodza.

Czar Aziza pozostawała w domu, rozumiejąc, że jej słowa rozpały pożar i stały się początkiem odkrytego buntu, co bezkarnie jej nie ujdzie. Czekwała więc z biciem serca i trwożą wypadków, ciesząc się w duchu, że potrafiła chociaż odrobinę zemścić się za męża. O Rasie starała się nie myśleć, gdyż tęsknota za nim zmuszała ją do łkania i jakiejś słabości, która opanowywała jej ciało i duszę. Tymczasem rozumiała, iż musiała teraz być spokojna i silna jak nigdy.

Dziesięć dni nie było żadnych wieści z Tarudantu, na jedenasty do kasby przybyło kilku jeźdźców. Siedzieli na dzielnych bułanych koniach, mieli na głowach turbany, opasane granatowymi sznurami, granatowe burnusy, szable przy siodłach i karabiny na plecach. Wszyscy poznawali w nich spahisów wielkiego kaida. Dowódca oddziału natychmiast odwiedził kadiego, który kazał niezwłocznie sprowadzić do biura Czar Azizę.

---

<sup>25</sup> Ulema – uczeni.

<sup>26</sup> Fantazja – wyścigi i popisy konne Berberów.